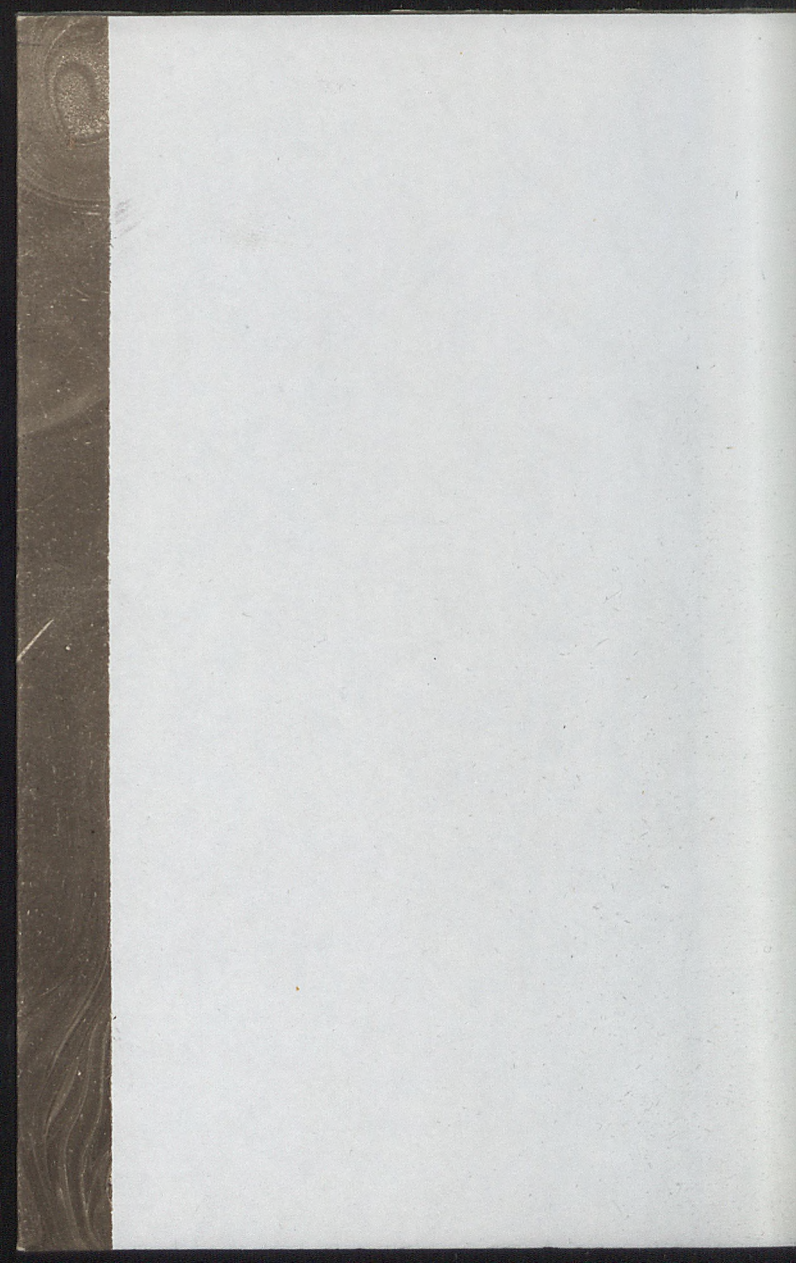
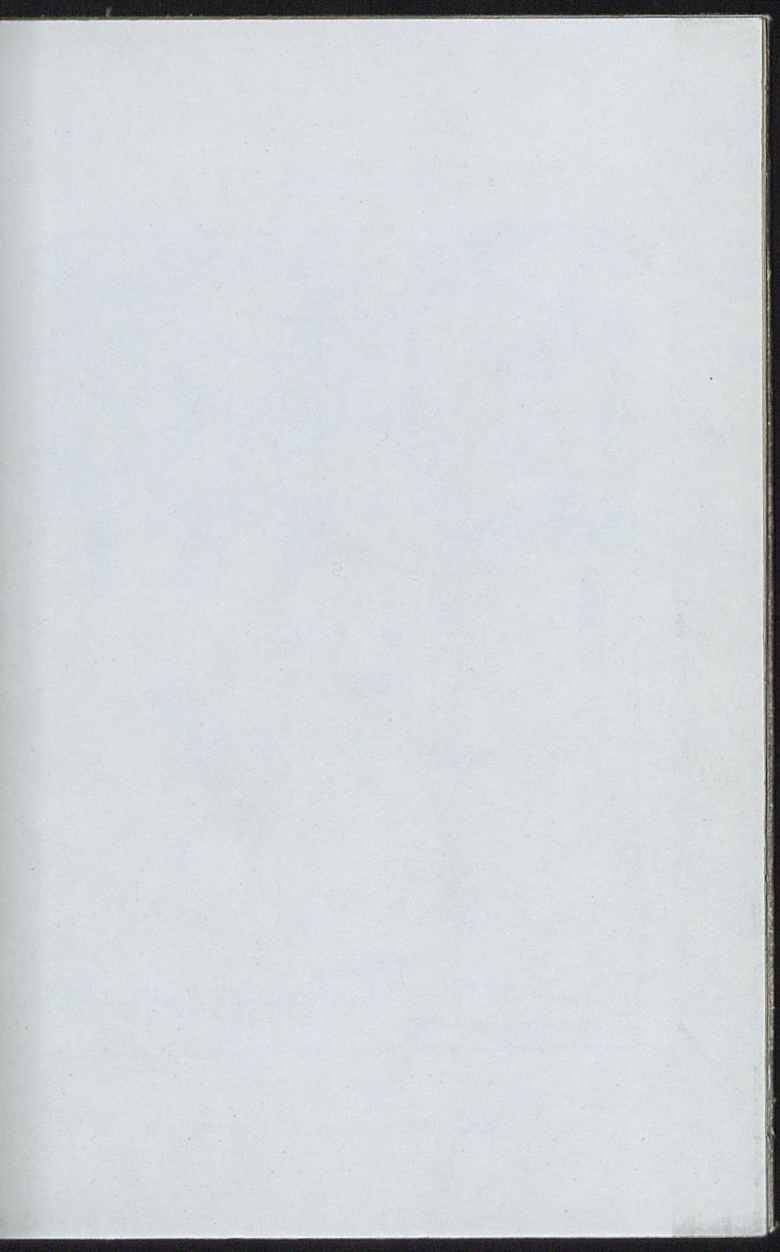
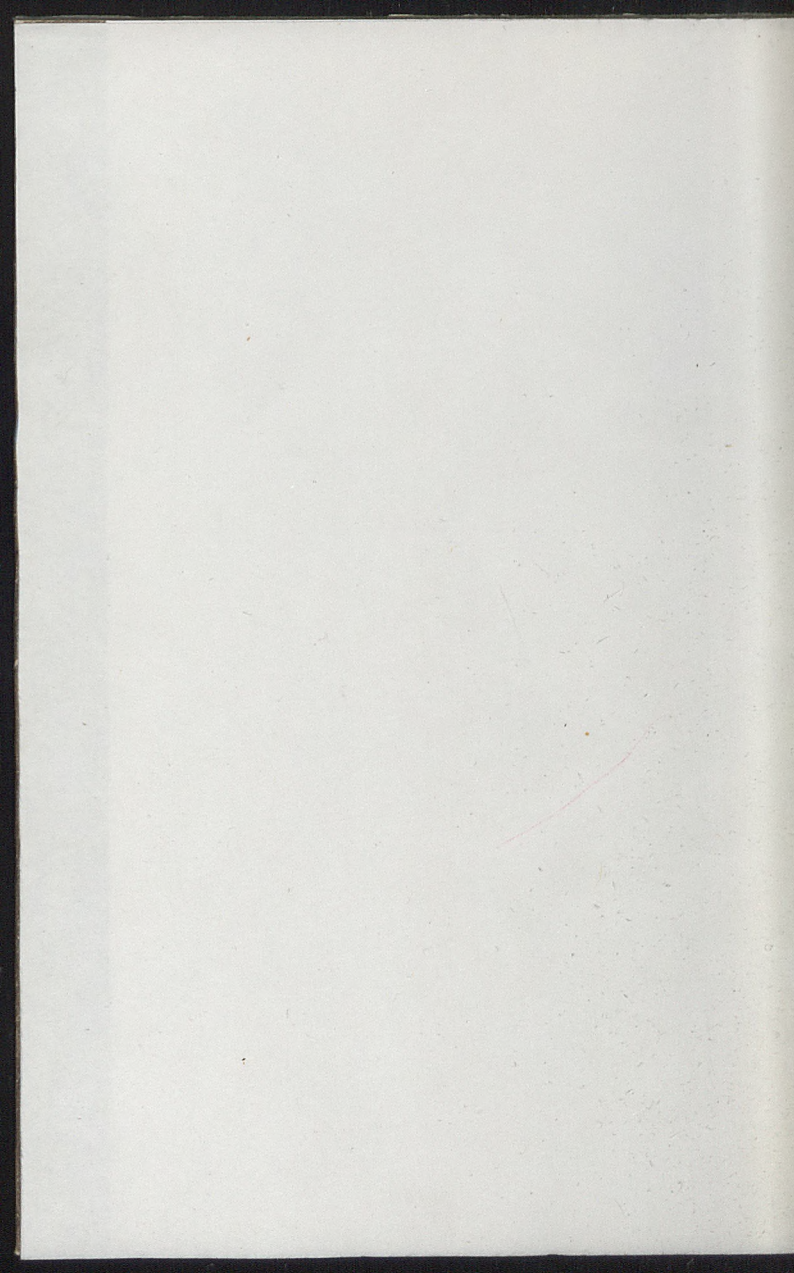


268220









№ 1

CENA kop. 10.

CZYTANKI POLSKIE.



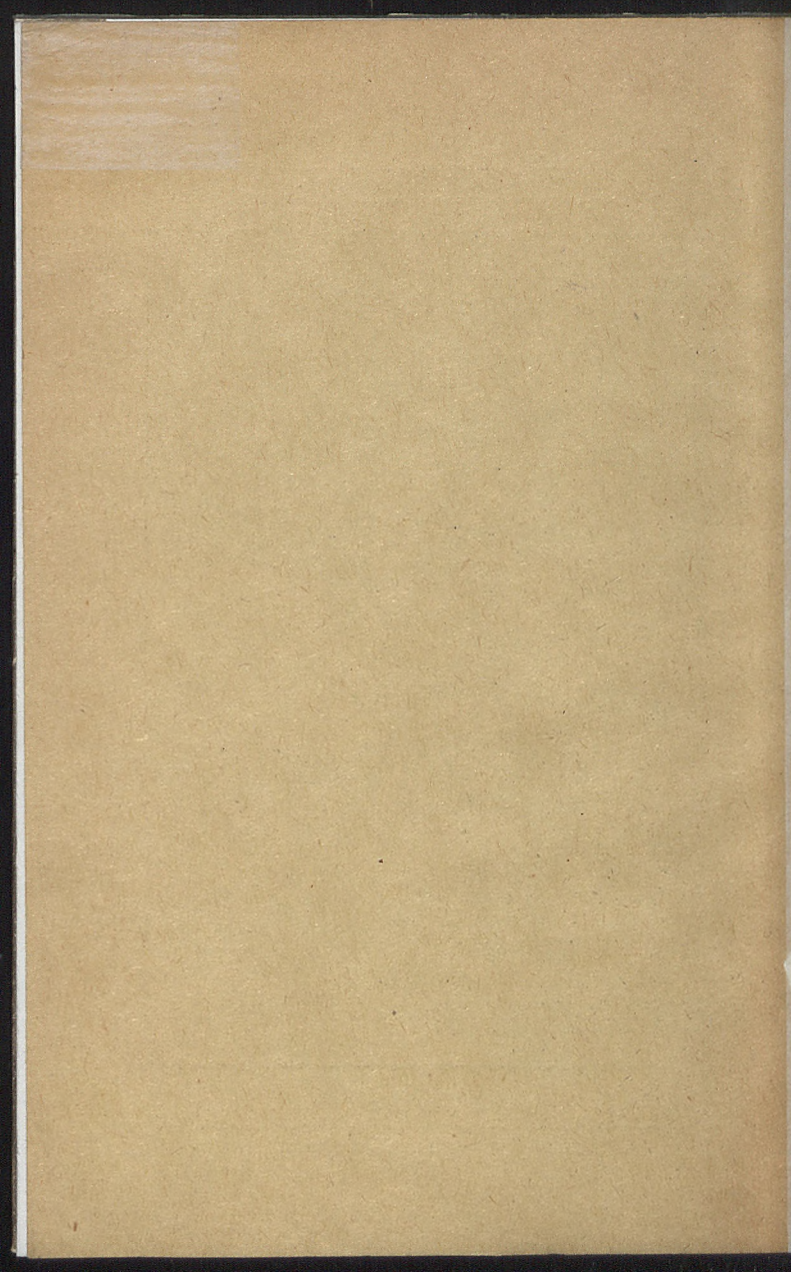
**NIESZCZĘŚLIWY**

FELIKS KON.

(Szkic z życia powstańców)


ODESA 1907 r.

Drukarnia Halperyna i Szwejcera.

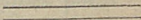


FELIKS KON.



# NIESZCZEŚLIWY



Opowiadanie z życia  
zesłańców. 



NAKŁADEM 

*Jana Mioduszezwskiego*

 **ODESA** 

 1907 r. 

BIELSKIE KOP

NIESZCZESLIWY



I 39.68  
I 268.220

WYDAWCA  
Jana Jędrzejewicza  
BIBLIOTEKA  
1907



## SŁÓWKO WYDAWCY.

W r. 1905 Feliks Kon czas jakiś przemieszkiwał w Odesie i poznaliśmy go wszyscy. Wszyscy—bo każdy czytywał w «Odeskich Nowostiach» feljetony, podpisane pseudonimem «Panglos», a w których mówił często o Polsce; w kronice życia polskiego imię Kona zapisaniem zostało złotemi zgłoskami, gdyż On to był kierownikiem i prezesem honorowym pierwszego wiecu polskiego w Odesie.

Któż nie pamięta tej uroczystej chwili, kiedy Kon ukazał się [na trybunie i głosem drżącym od wzruszenia mówił o towarzyszach swej niedoli, o przyjaciółach do dziś dnia pozostających na odległym Sybirze.

Wszyscy powstali, wewnątrz olbrzymiego cyrku, przepełnionego tysiącami rodaków, zaległa uroczysta cisza i suchy, o twarzy pergaminowej, sterany życiem Feliks Kon tak wielkim wydał się w naszych oczach.

Obrano go prezesem honorowym wiecu.

A przy końcu zgromadzenia, kiedy naraz zapanał turult i wrzawa, on zażegnał burzę i swoją stancw-chością i energją, w mgnieniu oka objąwszy sytuację, uciszył tłumy i nakazał wiecowi spokój i porządek. O. wówczas wszystkim dał się poznać Feliks Kon, takim, jakim on jest w istocie, trybunem ludowym, synem pokolenia co bohaterów wydało. Gdy pisma Odeskie, w parę dni po wiecu, fotografię komitetu wiecowego z Konem po środku podały, zamieszczono obok inną grupę: ten sam Feliks Kon zakuty w kajdanach w ubraniu katorżnika, obok Wacław Sieroszewski, Lury i inni towarzysze.

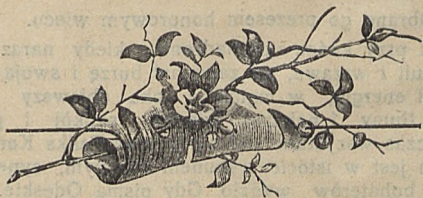
Co za kontrast! Kolonja polska z prezesem Dobroczynności na czele i zesłańcy syberyjscy

Nie czas dziś jeszcze mówić o tym wiecu, nie czas dziś opowiadać wszystkie wrażenia, jakie w sercu swym niby relikwje przechowujemy.

Chudy, o twarzy zmarszczonej, przywiedłej, żółtej, jak u wszystkich wygnańców, Kcn ma tak łagodne spojrzenie szarych stalowych oczu, odznacza się taką miękkością i dobrocią, taką łagodnością i dziwnym taktem, że pozyskuje sobie serca wszystkich, a pomimo niezłomności swych przekonań wobec krzykaczy i frazesowiczów często dziwnie razi swym umiarkowaniem.

Niewiadomo co mamy w nim więcej podziwiać: rozum, rozsądek, takt, czy hartowność przedwznową charakteru... Najbardziej pociąga młodzieńczy entuzjazm i optymizm idealisty, z jakim pomimo nieszcześć tyłu na świat się zapatruje.

Jego szlachetność i prostota czerpią swe źródło w nieprzebranych bogactwach serca.





Feliks Kon.

BIBLIOTEKA  
BN  
NARODOWA



## I.

Piękną jest wiosna w kraju Jakutów.

Jak matka po długiej nieobecności powracająca do opuszczonych dzieci gorąco tuli je do łona i ani na chwilę już od nich oderwać się nie może, tak jakuckie słońce na początku wiosny gorącymi promieniami pieści stęsknionych swych synów... Na krótką chwilę zmuszone znika z widnokregu, ale zanim się obejrzysz, już zarumienione powraca i do gorącej swej piersi cię tuli... śnieżny całun, co tak długo skostniała otulał ziemię, z każdą chwilą coraz bardziej z przed oczu znika, a uradowana ziemia, znacząc swe odrodziny w zielone stroi się szaty... Ogołoczone z igieł i liści drzewa skostniałe prostują członki, strzepują resztki

śniegu i też na gody się stroją... Na lśniących w słońcu, do niedawna jeszcze lodem skutych jeziorach, kąpie się i pływa ptactwo przelotne.

Jeszcze wczoraj panowała cisza, mrok i mróz, dziś — gwarno, jasno i ciepło...

Ożył kraj, co tyle czasu w lodowych drzemał objęciach i pełną piersią oddycha...

Ożyli i wygnańcy... Ten gwar lasu, zieleni łąk, te igrające w płomieniach słońca strumyki, ten lazur niebieski, kąpiący się w jeziorach, wszystko, cała przyroda dziwnym brzmiała dla nich urokiem... Spoglądając na pasące się krowy, na cielęta igrające wesoło i łaszące się do matek, niejednemu z wygnańców się zdawało, że słyszy wśród tej grającej orkiestry wiecznie drogą dźwięki pastuszej fujarki:

Maj na niebie świeci, Maj!  
Zieleni się las i gaj!

Zwrotka ta spokoju mi nie dawała. Pochyłe ściany jakuckiej jurty dławily, jak mury więzienia... Zarzuciłem strzelbę na ramię i ruszyłem z nieodstępnym Neptunem do lasu... Próżno jednak pies zwracał moją uwagę na spoglądające na nas spokojnie z wierzchołków drzew jarzabki. Myśli moje uleciały daleko... daleko...

„Boże, coś Polskę przez tak długie wieki  
Ótaczał blaskiem potęgi i sławy“

— rozległ się naraz śpiew niedaleko odemnie...

Stałem jak wryty, wyteżając słuch...

Stuletnie modrzewie pod tchnieniem  
wiosennego wiatru coś szeptały tajemniczo,  
ptaszki śpiewały, ale tego upragnionego śpie-  
wu człowieka już słycać nie było.

— Halucynacja! Złudzenie! — pomyśla-  
łem sobie, ruszając dalej.

Nie było to jednak złudzenie. Neptun  
niespokojnie spoglądał i z głośnym szcze-  
kaniem rzucił się w krzaki, zdala inny pies  
też szczekaniem mu odpowiedział, ale nad  
tym wszystkim górował donośny głos śpie-  
wającego:

„Coś Ją zasłaniał tarczą swej opieki  
Od nieszczęść..“

sluch mię nie mylił. Na wpół przytomny, ze  
słowami pieśni:

Do Twego tronu zanosim błaganie.

Ojczyznę, Wolność racz nam zwrócić  
Panie!

rzuciłem się w gęstwinię.

Niewidzialny mój rodak, również śpie-  
wając, też spieszył mi na spotkanie. Bieglis-  
my tak chwil kilka ku sobie, a dzika jakuc-  
ka tajga rozbrzmiewała dźwiękami ojczyste-  
go hymnu.

Lecz oto psy się już spotkały, a z pomiędzy gałęzi wyjrzała żółta, zmarszczona z błyszczącemi oczyma twarz śpiewającego. Małeńkie rude wąsiki, kozia bródka i długie, ciemne spadające na kark włosy odbijały na zielonym tle okrytych liśćmi gałęzi.

Śpiew nas już zbliżył, przywitaliśmy się więc serdecznie.

— Pan tu dawno? — spytał mię rodak.

— Dwa lata.

Twarcz mu spochmurniała, zmieształ się i zamilkł.

Przedstawiłem mu się, w odpowiedzi wymienił swe nazwisko.

— Wojciech Komar.

To mi wyjaśniło wszystko. Był to jeden z tych rodaków, z którymi bynajmniej nie miałem chęci zawierać znajomości. Zesłany po odbyciu „Katorgi“ do jednej z wiosek na brzegu Angary, otworzył tam szynk, który wkrótce zasłynął w okolicy, jako jaskinia złodziejska. Za skupywanie kradzionych rzeczy został wysłany do kraju jakuckiego i tu w jednej z osad uprawiał dawny proceder: spajał jakutów i zesłańców i skupywał za pół darmo kradzione w okolicy bydło.

Widocznie na mej twarzy mimo mej woli odbiło się rozczarowanie, gdyż Komar zmieształ się jeszcze bardziej i chcąc zamaskować to zmieszanie, zażartował:



— Widocznie komarów tu mało, przysłali jeszcze jednego.

Położenie moje nie należało do przyjemnych. Zbyt serdecznie przywitaliśmy się, by teraz bez wyrządzenia mu przykrości natychmiast pożegnać się i rozejść... na zawsze, a z drugiej strony niezbyt przyjemnie było zawierać bliższą znajomość z Komarem. Po chwilowym wahaniu jednak wyciągnąłem po raz drugi do niego rękę i zaprosiłem do siebie.

Komar odmówił i żadne namowy nie pomogły.

Kropla dumy, która w nim pozostała, silniej jeszcze obudziła we mnie chęć zbliżenia się do niego.



## II.

W kilka dni po tym spotkaniu, wypadło mi jechać do miasta. Skorzystałem z tej sposobności, by odwiedzić Komara, skręciłem z drogi i po wijącej się kapryśnie leśnej ścieżynie wyjechałem nad brzeg dużego jeziora. Na przeciwległym brzegu stała czysta, starannie oblepiona gliną jurta Komara. Zaszczekały psy, zarżały konie, pasące się nieopodal, gospodarz wybiegł mi na spotkanie z jurty, odsunął żerdzie, zastępujące wrota, przywiązał do słupa mego konia i wprowadził do jurty.

Dwaj jakuci siedzący na ławie z ciekawością zaczęli mi się przyglądać. Jakiś mocno podchmielony zesłaniec wstał z drugiej ławy, na której leżał rozwalony.

Gospodarz z jawnymi oznakami zadowolonia usadowił mię przy stole i koło poczęstunku zaczął się krzątać.

Niebawem postawił na stole butelczynę wódki i przekąskę. Lecz nie zdążyliśmy jeszcze zabrać się do poczęstunku, gdy do stołu doszedł zesłaniec.

— Nalej za dziesiątkę...

— Wynoś się!

— Nalej...

— Wynoś się mówię!—po raz drugi podniesionym głosem krzyknął Komar.

Śród nieśmiało wtulonych w kąt jakutów, też sądząc z często powtarzanego słowa: „argy“ (wódka), rozmowa się o wódce toczyła.

Gospodarz był widocznie zmieszany.

— Daj Bóg zdrowie—tracił się zemną, nielitościwie kalecząc język.

Zesłaniec znowu zbliżył się do stołu.

— Nalej za dziesiątkę...

Zmieszany do reszty Komar, wziął z rąk jego dziesiątkę, postawił, przytrzymując palcem na stole i ostrożnie nalał z butelki jedną kropelkę za dziesiątkę.

— No, nalałem! zaśmiał się głośno, chcąc śmiechem zamaskować zmieszanie.

Zesłaniec obrzucił go gradem wymysłów, Komar stracił cierpliwość, schwycił go

i wyrzucił za drzwi. Strwożeni jakuci też na okrzyk „baratur“ (wynieście się!) rzucili się do drzwi. Komar wrócił do stołu, nalał duży kieliszek wódki, wypił i zaczął się uskarżać na „hołotę“ która mu nigdy spokoju nie daje. Pił dużo i w miarę tego, jak wódka znikała z butelki, znikało i jego zmieszanie...

— Ot, patrzy sobie pan na mnie i głową kiwa, że ja tyle piję... I myśli sobie pan, że ja zły człowiek... Wiem... Dobrze wiem... I ja byłbym dobry... Dla czego nie? Oj, oj! Gdyby mnie kto z domu tyle przysłał, co innym przysyłają, to i ja byłbym dobry... Siedzieć sobie w domu nic nie robić, hm... i ja byłbym dobry. I innym jeszcze bym dawał...

Przyglądałem mu się z ciekawością, nie przerywając mu ani jednym słowem.

— Ot pan—ciągnął dalej po chwili—tu zaledwie dwa lata: i konia pan ma i jurkę ładną i dubeltówkę i rewolwer.. A ja ile lat suchym chlebem żyłem, zanim kupiłem to wszystko, co tu pan u mnie widzi. Ilem się u skopców \*) nawysługiwał!. A wie pan, co to znaczy u skopców służyć! Soki z człowieka wycisną, z błotem zmieszają i bez grosza puszcza. A ja u nich służyłem... I u

---

\*) Sekta rzezańców.

bogaczów jakuckich służyłem. Od „chajłaków \*\*\*) mi wymyślali, jak bydlę żyłem, ale pracowałem. Tego mi nikt nie pamięta, a za wódkę wszyscy wymyślają. Przyjdzie ksiądz, mówi: „grzech“, doktor mówi: „wstyd!“ a inni polacy wcale znać niechcą „szynkarza“.

Komar podniecał się coraz bardziej.

— A jeśli ja nie będę handlować wódką, nikt mi chleba darmo nie da, pieniędzy też nie będzie... A ja już dosyć harowałem. Ja też chcę żyć, jak człowiek... A pan tu już dwa lata mieszka, a do mnie ani razu nie zajrzał.

Ten niespodziewany zwrot w moją stronę wprowadził mnie w zakłopotanie. Na szczęście Komar przypomniał sobie, że odwiedziłem go jednak.

— No, przynajmniej dziś pan przyjechał... Dzięki i za to... Inni rzadko kiedy przyjeżdżają.

Ktoś zapukał do drzwi. Komar otworzył.

— Daj kieliszek!—wrócił znowu tenże zesłaniec.

— Masz! Bóg z tobą!—tym razem z dobrodusznym uśmiechem odpowiedział mu Komar.—Pij na zdrowie!

---

\*\*) Zesłańców.

Po chwili powrócił do stołu i nieśmiało zapytał.

— Pan zanocuje u mnie? Już tak dawno nie widziałem polaków — dodał ciszej nieco.

Dźwięcząca w jego głosie nuta smutku i tęsknoty skłoniła mię do pozostania.

Komar na chwilę wyszedł z jurty, zakrzętnął się koło mego konia i powróciwszy do izby zaczął się wypytywać o kraj, o Warszawę, o gubernię Płocką, skąd pochodził. Opowiedziałem mu jak mogłem najszczegółowiej, lecz to go widocznie nie zadowalało, gdyż zadawał wciąż nowe i nowe pytania.

Długo po północy siedzieliśmy tak, pochłonięci wspomnieniami o kraju, o dawno minionych czasach, o smutnej rzeczywistości.

Nazajutrz w dalszą puściłem się drogę. Gdym skręcał w tajgę, uwagę mą zwrócił rozlegający się nieopodal żałośny ryk krowy. Jakiś zesłaniec już wznosił nad nią siekiere, lecz ujrzawszy mnie, skrył się w krzakach.

Mimowoli zwróciłem się w stronę jurty Komara i powtórzyłem:

„Mało tu widać komarów! przystali jeszcze jednego!“





### III.

Podróż do miasta trwała prawie dwa dni. Ulewny deszcz, cicha, pełna smętnej tęsknoty gęstwina leśna ze swemi spokojnymi prawie martwymi jeziorami, gęsto rozsiadane mogiły jakuckich nędzarzy z połamanymi krzyżami i rozwalonymi pomnikami, i inne większe, sterczące samotnie na wzgórzach pomniki jakuckich bogaczy: to wszystko napawało jakąś tęsknotą, potęgowało smutek wywołany rozmową z Komarem.

Po przyjeździe do miasta, udałem się do doktora, o którym wspominał Komar, a którego znałem oddawna i w kilku słowach opowiedziałem mu o swej znajomości z Komarem.

Doktora nie zdziwiło moje opowiadanie.



— Czy pan wierzy — wysłuchawszy mnie uważnie, poważnie zaczął doktor — że ten sam Komar był kiedyś jednym z najzapałęnszych, najbardziej oddanych sprawie ludzi? Byłem z nim w jednym oddziale. Kiedy bój się zaczyna, oczy mu błyszczą, twarz cała ogniem płonie i rzuca się na wroga, jak lwica, broniąca swych lwiątek... Zdarzało się, że go ranią... krew leje się strumieniem, a on nic... Jegoż w tem вина że nie poległ? Kto wie... Gdyby wówczas poległ, może był by jednym z najbardziej czczonych bohaterów... Wylizał się... i został tylko Komarem...

— Czem że objaśnić, doktorze, tą metamorfozę?

— Życiem! — odparł z przyciskiem doktor.

— Ta proza życia, o której przedtem wcale nie myśleliśmy, już w drodze dała się odczuć. Walczyliśmy z nią, ile nam sił starczyło, ale cóż zrobić, jeżeli każdy oficer, dozorca, żołnierz, widział w każdym z nas pana, pomimo kajdan, odzieży aresztanckiej i odartej z włosów głowy, a Komara i jemu podobnych traktował, jak chłopów. Któż nie wie, że szczeble drabiny społecznej nawet w więzieniu zachowują swą siłę. Ale tam jeszcze można było z tym walczyć, a co było robić po wyjściu z więzienia? Rozrzu-



cili nas po takim obszarze, że czasami po całych latach nie miało się żadnej wieści o towarzyszach niedoli. Tu po raz pierwszy każdy występował samodzielnie do walki o byt... A ciężka to walka, straszna... Obczyzna... Dokoła obcy ludzie... Wielu nawet po rosyjsku rozmówić się nie potrafiło... A żołądek, przyzwyczajenie, domagały się swego... Ile w tej walce zginęło! Zginęło w ścisłym tego słowa znaczeniu, nie plamiąc swego nazwiska. Takich, którzy z tej walki wyszli zwycięsko, było niewiele. A reszta upadła i do dziś dnia w błocie się nurza... kto chce—niech rzuca w nich kamieniem... Ja nie mogę... Ja widziałem tę walkę, znam tych zwyciężanych, wiem, jak oni cierpią, szukają wyjścia i nie znajdują go... Niech Komar spróbuje żyć inaczej... Ten sam zesłaniec, któregoś pan u niego widział, tak mu się da weznaki, że na całe życie go pamięta...

Doktora wezwano do chorego, przerwaliśmy rozmowę i rozstaliśmy się.

W tydzień później wyjechałem z miasta.

W połowie drogi spotkałem gromadę jakutów, odprowadzających pod konwojem Komara jadącego na wozie.

— „Argy targuj! Inach karapezy!“ (wódka handlowała, krowy kradł), objaśnili mnie jakuci.

Zbliżyłem się do aresztanta i zacząłem wypytywać o powody aresztowania.

Komar wahał się.

— Pan temu wszystkiemu winien — mruknął w końcu.

— Ja?! A to jakim sposobem?

— Widzi pan... Pan sobie pojechał, a ja zostałem z memi myślami. Stał mi w pamięci kraj ojczysty, i dom, i proboszcz, i tak mi było dobrze... Aż tu przyszedł zesłaniec, przyprowadził krowę... Pan wie, jaka to krowa?

Skinieniem głowy dałem potwierdzającą odpowiedź.

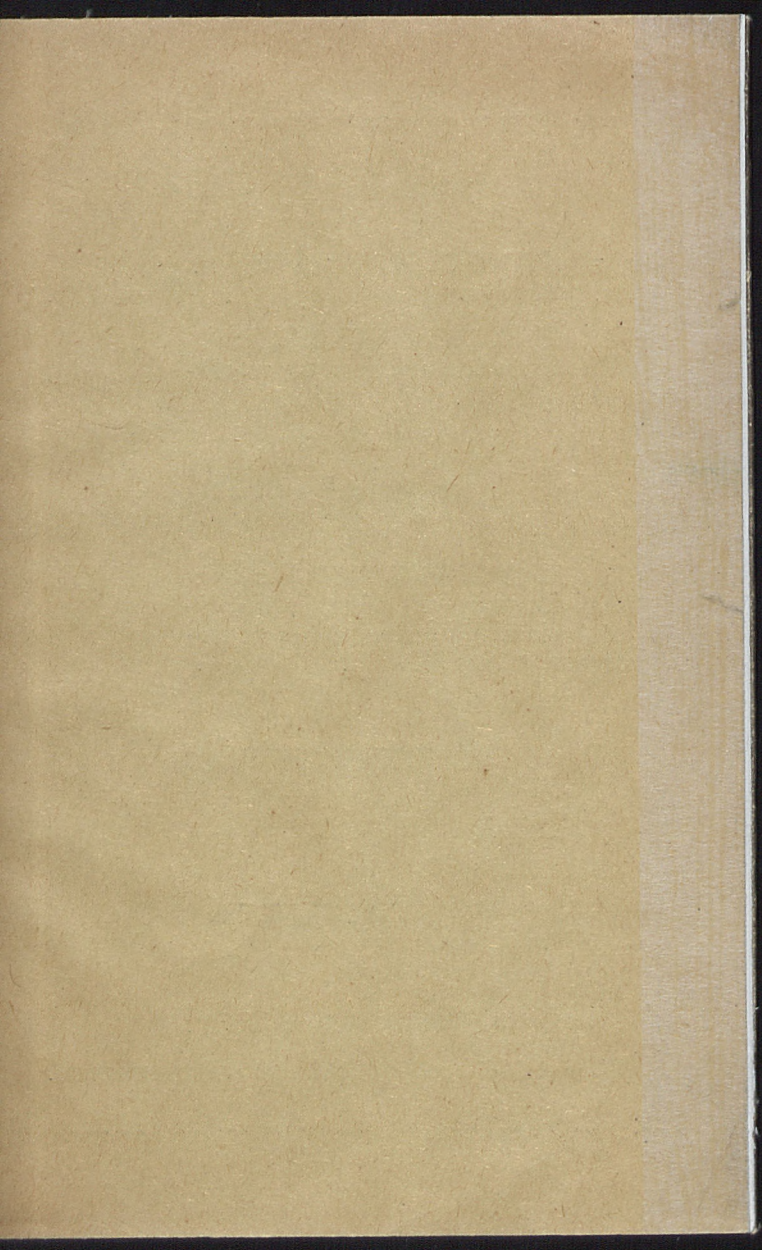
Nie przyjąłem... Nie mogłem... On się rozzłościł i doniósł na mnie...

.....

Sprawdziła się przepowiednia doktora. Kilka miesięcy potem wysłano Komara aż na sam brzeg Oceanu Lodowatego — do Kolymska.

KONIEC.





## Czytanki Polskie.

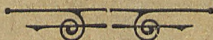
1. PAMIĘCI MICKIEWICZA.  
str. 32 z rysunkami . . . . . 10 kop.
2. Feliks Kon. NIESZCZEŚLI-  
WY. Opowiadanie z życia zesłań-  
ców. . . . . 10 kop.

### POD PRASĄ:

- KALENDARZYK ODESKI** z lic-  
nemi ilustracjami, portretami, i ob-  
jaśnieniami 80 str. druku i 32 ilu-  
stracje. . . . . 15 kop.

### W przygotowaniu:

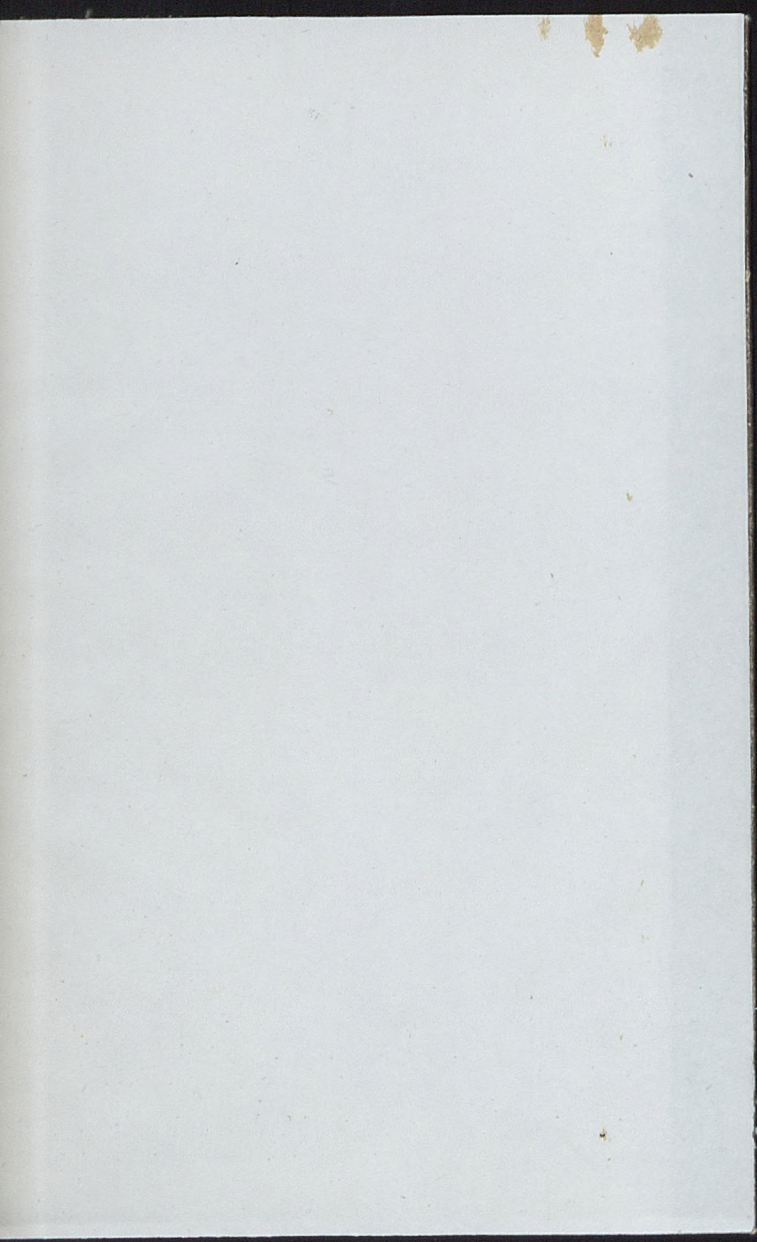
- ŻYCIE LASSALA . . . . . 5 kop.

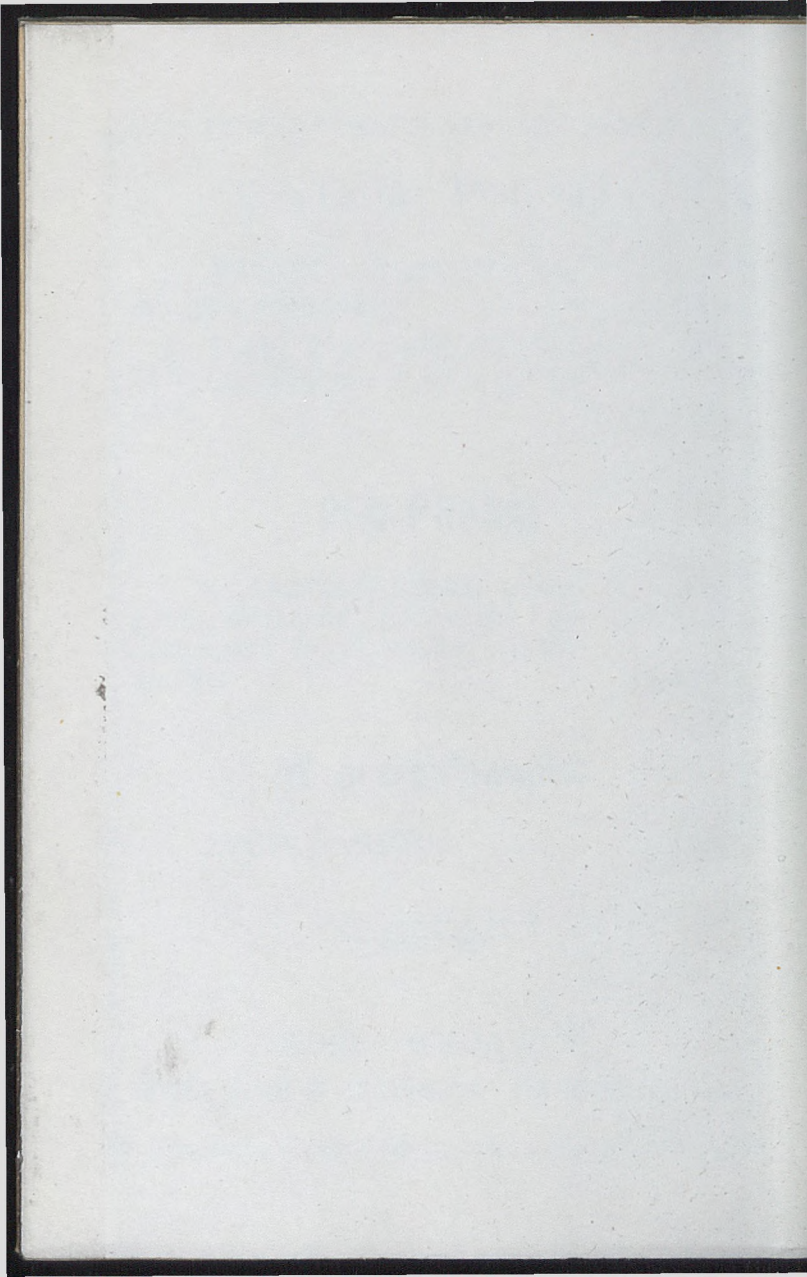


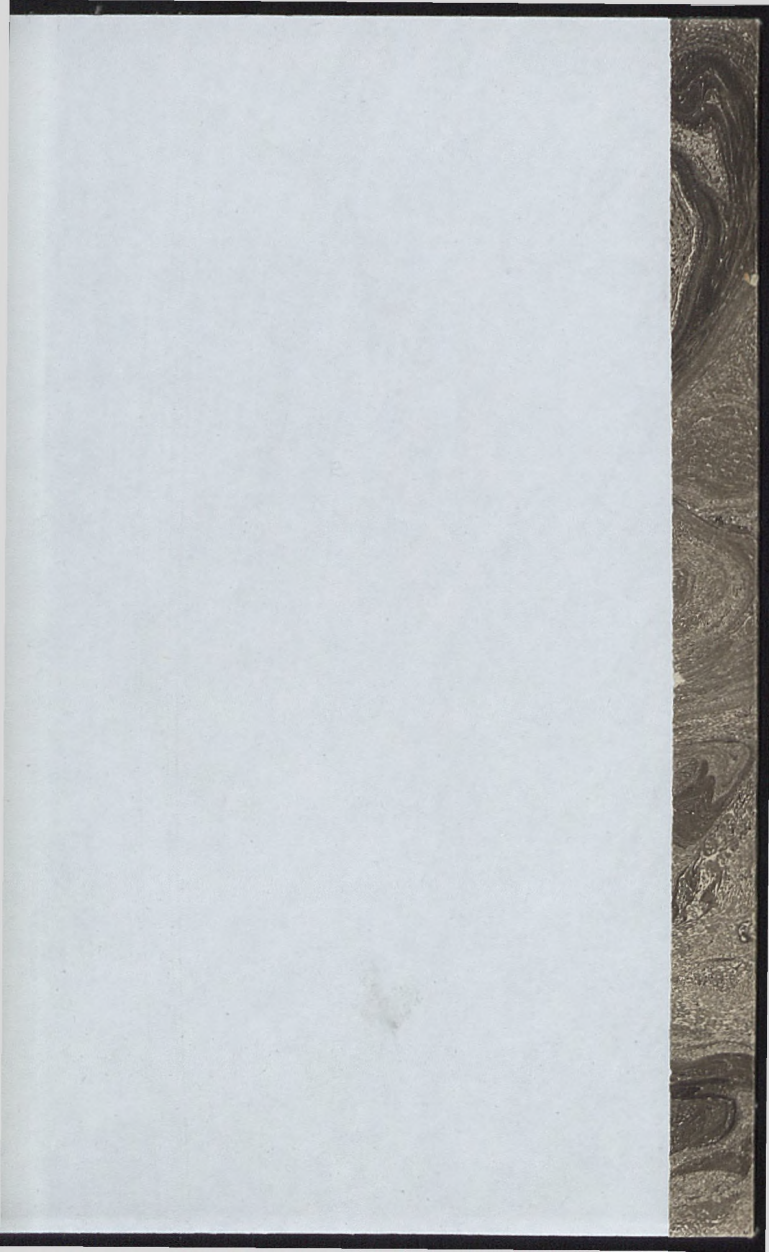
### ADRES WYDAWCY:

ODESA № 48 ul. Chersońska. Jan Mioduszewski.

H









BN

BIBLIOTEKA  
NARODOWA

268220

---

---